

nie jest górą. W każdym razie mężczyzna bliższy jest biologizmowi, seksualizmowi, czyli jest bardziej szczery, co łączy z brutalnością. Kobieta zaabsorbowana samochodem, a to na ogół groźny przypadek, nie umie czy nie może nie ołsniewać bez względu na przypadki z pojazdem, który wywiózł ją na bezdroża. Przecież jest wzorem businesswoman, która musi sobie poradzić w każdej sytuacji, bo tak nakazuje etyka III Rzeczypospolitej.

Podkreślmy jeszcze to, że Mężczyzna jest z innej, wcześniejszej epoki, z pewnością stoi za nim doświadczenie, ale czy mu przydatne? Kobieta (w sztuce nazwana – Ona) jest produktem ostatnich wspaniałych dwudziestu lat. Pewnie mogliby zostać partnerami. W interesach. Kochankami nigdy.

Dlatego z niepokojem oczekujemy finału tego przypadkowego spotkania dwojga ludzi w warunkach ekstremalnych. Jego logika jest przecież bezwzględna. Więc czemu do końca mamy nadzieję, że... nikt nie jest samotną wyspą.

Nasuwa się także przy okazji i taka refleksja, że kiedy umieramy, pragniemy bliskości. Jednak czy drugi człowiek może nam ją ofiarować?

Gdybym podpowiadał realizację tej sztuki podkreśliłbym, że każdy element na scenie, każdy rekwizyt, ma tu ważne znaczenie, musimy ulec ich metaforyce, by wydobyć z niej wszystkie cienie i blaski.

Kolejna sztuka, którą Henryk Gała zdecydował się opublikować w tomie *Czwarty dzwonek* to *Wszystko widać*, jakby łagodniejszy powrót do przeszłości, do własnego dzieciństwa, do czasów młodości naznaczonych wojną i okresem powojennym. Pytał Grochowiak: „Któż z nas nie schodzi do kopalń dzieciństwa?”. No, nie każdy jest taki odważny jak Henryk Gała. Pisarz musi się przecież zmierzyć z demonami wczorajszymi i dzisiejszymi. Musi raz jeszcze przyjrzeć się dokładnie, pod światło, choćby relacjom rodzinnym, zderzyć się z mitami Ojca i Matki, ze stereotypem Obcego, czyli Niemca. Czy to możliwe, ależ oczywiście jeśli piszemy krwią z palca serdecznego. I tak czyni autor.

Zbiór *Czwarty dzwonek* kończy sztuka dla teatru lalek pt. *Kółko i kamyk*. Pamiętamy, że lalki na scenie mogą być różne, że skoro przetoczył się przez nią bal manekinów wszystko jest na niej możliwe. Ale nie martw się drogi realizatorze i drogi czytelniku, przecież kończy tę sztukę pogodna piosenka:

Wielu ludzi tutaj żyło, w niebo spoglądali.
Z nadzieją patrzyli, swojej gwiazdy szukali.
Więcej ludzi teraz, niebo coraz większe,
Jedno wciąż to samo – marzenie o szczęściu.

STANISŁAW GRABOWSKI

Henryk Gała, „Czwarty dzwonek”. Stowarzyszenie Wspierania Edukacji i Rynku Pracy, Łomża, Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2012, s. 232.

Herbata z gwiazdek

Niewiele jest książek poetyckich tak jednorodnych i niekonwencjonalnych, jak ostatni tom wierszy **Marii Magdaleny Poczaj** pt. „Herbata z gwiazdek”. Być może jest to najlepsza książka w dotychczasowym dorobku autorki.

Wiersze płyną ku nam z zimowej scenerii, zgoła niecodziennej. A jednak nie czujemy zimna. Przeciwnie! Strona po stronie, patrzymy i wsłuchujemy się w świat poetki i jej myśli w kolejnych porach roku. Również w podróżach na polskie i szwedzkie morskie wybrzeże oraz do Szwecji, by powrócić zimową porą białymi od śniegu wierszami. A one są jak motyle w krainie łagodności.

„Herbata z gwiazdek” jest odpowiedzią na pytanie – co to jest prawdziwa poezja. Wiersze nie muszą zawierać treści stricte filozoficznych, być popisem intelektu. Nie muszą epatować górą metafor, erotyzmem, czy wręcz seksem. Często daleko im do prawdziwej poezji. Zbędne jest podpieranie się cytatami i nazwiskami ważnych, wielkich postaci. Bywa, że taka postać i przytoczony cytat zaślania próżnię wiersza jego autora i niekoniecznie świadczy o erudycji i poetyckim polocie. Magda Poczaj nie zastanawia się, jak napisać wiersz. Wiersze po prostu w niej żyją, wyfruwają jak ptaki, płatki śniegu, gwiazdki. Oblaskawiła je, zanim się narodziły. Są posłańcami wrażliwości, miłości, dobra, zachwytu. Sugerują zastanowienie, pochylenie się nad kimś – czymś, zatrzymanie na chwilę w biegu życia, by dostrzec to, co ważne, piękne, albo zasługujące na współczucie czy pouczenie, wskazówkę. Fascynuje ją człowiek „niezwykłość i piękno przyrody, nawet drobnostka, w stworzonym przez Boga wielkim świecie i w tym najbliższym jej domostwu. Podobną fascynację widziałam – czułam w poezji znanej zduńskowolskiej poetki, Lilli Latus. Pamięć podsuwa mi również tytuł książki Zdzisławy Jaskólskiej-Kaczmarek pt. „I napijemy się z jednego źródła”. Każdy lubi inną herbatę, każdy w tej jednej może doszukać się innego smaku. Niemniej Maria Magdalena Poczaj i Andrzej Szałal przygotowali niezwykłą, magiczną ucztę duchową. Jakież to zrządzenie losu? Przypadek, zbieg okoliczności, przeznaczenie, szczęście – że w mrowisku ludzkim spotkało się tych dwoje o podobnej wrażliwości, współodczuwaniu i zamilowaniach (poezja, fotografia). Dwie pokrewne, przyjazne dusze. Wzajemnie siebie potrzebują – dobrze, że mają siebie, choć dzieli ich przestrzeń. Są jak obraz i rama. Jedno bez drugiego byłoby puste, nagie, pozbawione dopełnienia.

Jesteś
daleko czy blisko
tylko to się liczy
reszta
głęboko pod śniegiem

Czytelnik od początku do końca czyta jednym tchem, choć – bez pośpiechu, z namysłem. Każdy wiersz daje mu tyle światła, tyle ciepła, dobrej energii, pozytywnych doznań i myśli, że chyba nawet sceptyk czuje się przy magicznej wartości „Herbaty” jakiś lepszy, o coś bogatszy, pokorniej wobec mocy lub subtelności słowa i jego znaczenia. Uczestniczymy w czymś niemal pozawymiarowym. Razem z autorami listów – smsów czujemy samotność, radość, tęsknotę, zachwyty, gorzyc, nadzieję – naszą własną obecność w ich wzajemnej relacji trwającej prawie cztery lata, dzieleniu się dniem i nocą wrażeniami, wzruszeniami, przemyśleniami. Ubolewamy nad tym, że nie mogą być razem, aby porozmawiać, być blisko w chwili, kiedy jedno potrzebuje drugiego i jego zrozumienia.

Od początku do końca Maria Magdalena Poczaj gra na tych samych strunach. I nie jest to bynajmniej żadna „deszczu pęknięta struna”. Dobrze, że przeszłość, bolesną, pogrzebała pod czystym, białym śniegiem – jak czysta, nowa strona życia. Tak, jak i nowatorska (moim skromnym zdaniem) jest koncepcja książki „Herbata z gwiazdek”. Przechodzimy – przepływamy z jednego wiersza do drugiego, tematycznie pokrewnego. Łączą się tu słowa jak dłonie w kręgu, ognia łańcucha, jak gwiazdka za gwiazdką śniegu z nieba, obcowanie z przyrodą w kolejnych porach roku, jak morska fala i wiatr. Uczestniczymy w różnych sytuacjach, czynnościach, podróżach i rozmyśleniach. Pomiędzy wierszami – kursywą pisane poetyckie listy-smsy poetki i Andrzeja Szałala. I to jest w tej książce najbardziej niezwykle, nie tylko pod względem treści. To innowacja, choć zapewne zdarzały się książki podobne w zamysle. Ale może nie były tak jednorodne i mądre w pozornej prostocie wierszy.

Wiersze Magdy Poczaj to afirmacja codzienności, która może być ważna, kiedy jest się dla kogoś, dla czegoś, choćby nawet w oddaleniu. Sama świadomość buduje coś nieuchwytnego, niewidocznego, a jednak trwałego. Z każdym przesłanym słowem pewniejszego, nabierającego poczucia wartości, wsparcia i obopólnej inspiracji. W sumie to nie jest tylko dzielenie się wzruszeniami, zachwytaami, poglądami. To coś więcej, co można dostrzec i poczuć pomiędzy słowami, czego zapewne doświadczali nieliczni.

Wróć na chwilę do tomiku „Na deszczu pękniętej strunie”. Czytam w wierszu otwierającym książkę – *Stokrotka*: „...ile można czekać / w sukience białej jak śnieg...”. Ale dalej – „...Twoje zimne słowa / topią się w moich rękach / jak śnieg / widzisz jak się potrzebujemy?”

W tamtej książce „kulila w sobie nawet oddech”, a „W Wigilię” „...z opłatkiem łyzy / kłuczyła po obrusach śniegu / z nieba przyszła cisza...”. Ale „w sercu wila gniazdo przebaczenia”.

(Dokończenie na stronie 20)